№ 1 WARSZAWA, DNIA 6 STYCZNIA 1912 ROKU ROK II

NASZ ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEZY.



NOWY ROK.

NOWY ROK.

Ktoś jest, skrzydlaty, cichy duchu,
Co spływasz tu na ziemię,
Kiedy w śnieżystym, białym puchu
Snem cichym ona drzemie?
Dlaczego miękkie skrzydła twoje
Tak nagle zolbrzymiały?
Jakież spłynęły po nich zdroje,
Że całe tak zczerniały?
Nie błyszczy gwiazda na twem czole,
Weselem wzrok nie świeci —
Jakież przywiodłeś nam pacholę
Wśród śnieżnych burz zamieci?
— Leciałem dziś nad smutną ziemią
Ja, anioł waszych losów,
Gdzie bory ciche we mgle drzemią,
Jękliwych pełne głosów...
Łez w niej przelanych rzeki całe
Zrosiły moje pióra —
Zczerniały od nich skrzydła białe
Jako burzliwa chmura ..
Przywiodłem z sobą Rok wam Nowy
Bratnie mu dajcie dłonie —
Niech zahartuje serca, głowy,
Niechaj w nich Duch zapłonie!

— Jakież przynosisz dla nas dary,
Ty gościu tajemniczy?
Czyś rokiem smutku i ofiary,
Czy szczęścia i słodyczy?
— Żelazną wolę niosę wam
I spokój, i wytrwanie
W pracy dla jutra ciągłej dam —
I dobra ukochanie!
Nauczę was wśród gromów żyć
I czoło wznosić harde —
Własnego szczęścia zrywać nić
Gdy losy każą twarde...
Nadziei wam przynoszę kwiat
Abyście w pracy trwali —
A moja pierś, młodzieńcza pierś
Kowana jest ze stali!
Czy chcecie abym z wami żył,
Wśród wichrów i wśród burzy?
Czy starczy wam dopóty sił
Aż niebo się rozchmurzy?
— O, zostań z nami, Roku Nowy!
Bo siły nam potrzeba —
Światła czekają ciemne głowy
A głodne usta — chleba!

Zapal ufności gwiazdę jasną,
Niech ona wciąż nam świeci —
Niech z nią zespolą duszę jasną
Młodzieńcy, starce, dzieci!

K. Wol[illegible]ka.

U PROGU NOWEGO ROKU.

□ □ □

„Nasz Świat" zamyka pierwszy, roczny okres swojego istnienia. Otoczony odrazu sympatją i życzliwością czytelników swoich, starał się uczucia te wzmocnić i ugruntować, zabiegając o pożytek i rozrywkę młodzieży polskiej, zaszczepiając w jej sercach uczucia wzniosłe i szlachetne.

Zapewniwszy sobie współzawodnictwo najwybitniejszych sił literackich, pedagogicznych i artystycznych, postawił sobie za zadanie

przygotowanie młodzieży do życia rzeczywistego, wytrwałej pracy społecznej, prowadzonej z myślą dobra powszechnego. Pragnienie przyczynienia krajowi dobrych i dzielnych synów, godnych tego imienia, umiejących ciężar losu dźwigać bez szemrania i patrzących, pomimo wszystko, z otuchą w mroczną przyszłość — oto cel, który wszelkiemi siłami urzeczywistnić pragniemy. To też niewolno nam upadać na duchu w obec ciężko zapowiadającego się Nowego Roku: spodziewane, jak i nieprzewidywane klęski, moralnej i materjalnej natury — złamać nas nie powinny i nie mogą.

„Nasz Świat" trwając na swej placówce społecznej, będzie wam w dalszym ciągu dostarczał zdrowego i czystego pokarmu duchowego, ukazywał cele szczytne, wzniosłe — i drogi do nich prowadzące; oddając hołd świetnym i jasnym stronom przeszłości naszej, nie będzie wam zakrywał oczu na rany i niemoce społeczeństwa naszego.

W krótkim czasie, Ty, młodzieży nasza, przetworzysz się w ludzi dojrzałych, w kobiety, będące towarzyszkami prac i trudów mężczyzn; gromadź więc w umysłach swoich wszystko, co się Wam przydać może na daleką drogę życiową, bierz od nas wszystko, co Ci dajemy, kierując się doświadczeniem i miłością! Tyś także jest „arką przymierza między dawnemi i nowemi laty" — mieć więc powinnaś, obok doświadczenia, którego Ci przeszłość kraju dostarcza, zapał i ufność młodości, kierowane rozumem i silną wolą—bez których nigdy do celu się nie dojdzie.

Pełni ufności, że dalsza praca nasza wzmocni i zacieśni węzły przyjaźni, łączące nas z czytelniczkami i czytelnikami naszymi, zasyłamy im przy Roku Nowym serdeczne życzenia pomyślności i wytrwania w pracy dla ogólnego dobra!

REDAKCJA.

BEZ BUTÓW.

Zima roku 1797 była nadzwyczaj surowa i ostra,—nawet północne Włochy, południowa Francja i Alzacja zaznały takich mrozów i śnieżnych zawiei, że zaledwie najstarsi wiekiem ludzie pamiętali podobne zimna.

Ale w Polsce jakaś wiosenna radość zalała serca, a dziwne wieści zaczęły cicho krążyć z dworku do dworku, z domu do domu, z ust do ust... Bo oto lotem błyskawicy rozeszła się wiadomość, że generał Henryk Dąbrowski zawarł z Francją umowę,*) na mocy której formuje polskie wojsko: legjony.

Wnet, by ptactwo na wiosnę, jęły ściągać pod chorągwie generała liczne rzesze wychodźców, dawnych żołnierzy kościuszkowskich, młodych ochotników, którzy rzucali ogniska domowe i spieszyli na wezwanie...

I parę tysięcy bitnego żołnierza stanęło we Włoszech, by pomagać Francji w wojnie z Austrjakami. A bili się jak lwy, roznosząc sławę polskiego oręża na świat cały, cierpiąc niewygody, głód, chłód i zimno. Wprawdzie rząd francuski obiecał legjonom dać umundurowanie i wypłacać żołd wedle regulaminu, ale wydatkami na armję Włoską zubożony, zostawił Polaków własnemu losowi.

— Masz, babo, placek!—mruczał kapral Siwiński, podsycając ognisko, wokół którego żołnierze, w łachmanach niemal, kulili się, by rozgrzać skostniałe członki, —

*) W styczniu 1797 roku.

obiecali i ubranie jak się patrzy, i strawę i żołd.,. A tu, Boże zmiłuj się!

— Fraszka strawa, — odpowiedział Walek, młody ochotnik z Mazowsza, — nikt mi do brzucha nie zajrzy, ale ooo — moje buty!

I wyciągnął nogi, na których cholewy tylko się trzymały, a podeszwy — ani śladu.

— Ho, ho, bracie! i to dobrze, masz chociaż cholewy, paradujesz jak pan. A ja co? i tego niema, kochanieńki,—rzekł przeciągle Litwin, chudy jak szczapa.

— Wstyd doprawdy! żołnierz bosy — pfuj! — zawołał z goryczą Siwiński.

— Co mi tam wstyd! — wtrącił Franek Kowalski, największy gębacz i malkontent z całej kompanji. — Ale zimno! w tem sęk — rany mi się porobiły na piętach. Psie życie!

— Pewnobyś wolał teraz za piecem w izbie siedzieć — rzucił szyderczo Walek.

— A pewno, — mruknął Franek.

— Pfuj, — splunął kapral, który nie lubił Franka za brak subordynacji—piecuch, baba!

— Przecież to ojczyźnie służymy, bracie, — i da Bóg niedługo wkroczymy do kraju jako zwycięzcy i zbawcy, kochanieńki, — odezwał się pojednawczo Litwin, niecierpiący sporów.



— Ba, służę i ja chętnie, ale niech mi głód nie doskwiera, a buty chociaż niech mam całe, — usprawiedliwiał się Franek.

— I piec, i pierzynę, i kożuch, i jagły, i słoninę, — szydził Walek.

— Ot, zaśpiewajmy lepiej, — zaproponował Litwin, aby nie dopuścić do kłótni.—Mało mamy biedy, jeszcze się żrecie między sobą.

I zanucił ochoczo:

Lecą bomby, kule świszczą
I bagnety w oczy błyszczą...
Któż wam na to, któż zapłaci,
Jeśli który nogę straci?

— I buty wtedy na nic się nie zdadzą,— wtrącił Walek.

Roześmieli się wszyscy, lecz wnet posmutnieli i rzewnie ciągnęli dalej:

Już po bitwie grzebią trupy,
Żołnierz wraca do chałupy,
Wraca na dwóch kulach wsparty,
Na nim tylko płaszcz podarty..

Westchnęli biedacy, spojrzeli po sobie, na te połatane mundury, koszule w strzępach, postronki zamiast rzemieni, podtrzymujące ładownice... Franek zatulił się w jakiś łachman, który przypominał derkę na konia, a legjoniści śpiewali:

I pytają we wsi dziatki:
Kogo szukasz?—Ojca, matki.
Darmo szukasz, gospodarzu,
Ojciec, matka na cmentarzu.

Pieśń płynęła, skarżąc się, w ciemną, zimną, obojętną noc. Zapanowało wkrótce ponure milczenie,—każdy myślą biegł daleko, na północ, do swego domu, do ukochanych twarzy, do rodziców, żony, dzieci drobnych.

— Bóg wie, kiedy do swoich wrócimy— i czy zastaniemy kogo jeszcze, — szepnął Walek.

I posypały się pojedyńcze głosy, wyrzuty i skargi, tkwiące, by cierń ostry w sercach legjonistów:

— Złupiliśmy skórę Austrjakom...

— Wypędzili z Włoch...

— Już generał Dąbrowski otrzymał od Bonaparta pozwolenie, aby przez Węgry iść do Galicji...

— Bonapart zawarł wtedy pokój *) z Austrją—pogodzili się, a Polakom figa!...

— Na nic nasza krew—nasze nadzieje...

— Byłoż to było, — opowiadał Litwin, generałowie nasi w rozpaczy głowy potracili: Wielhorskiemu krew puszczono, Kniaziewicz chodził jak z krzyża zdjęty, a Dąbrowski rozchorował się obłożnie.

Posmutnieli wszyscy, w ponurych zatopieni wspomnieniach.

— Mamyż darmo krew lać, na rzeź jak barany chodzić? — wołał Franek.

— Głód nam kiszki ściska, zimno do snu kołysze!—dorzucił któryś.

Pomruk rósł: tak niedawno wierzyły legjony, że pokonawszy Austrję, odbiorą jej Galicję,—pokój w Campo-Formio zabił tę wiarę, zniszczył złote nadzieje, zawiódł polskie wojsko straszliwie: nie tylko generałowie i oficerzy odczuli krzywdę, ale i prości żołnierze,—niezadowolenie i rozczarowanie w szeregach rosło, znikł zapał i ochota.

— Pfuj,—splunął kapral,—jesteście jak te faryzeusze, co zaraz chcą mieć stokrotną zapłatę za dobry uczynek. Już tam Bonapart dobrze wiedział, co robi.

— Wiedział, ale i nam mógłby coś przecie utargować za tę krew naszą, za wygrane bitwy!—zawołał Franek.

— Nasi generałowie musieli go wyrozumieć,—ciągnął Siwiński,—skoro legjony dalej mu pomagają... Zresztą, żołnierska rzecz jest słuchać, a nie mędrkować! Kazali nam tu stać — to stójmy, każą iść — to pójdziemy, choćby na kraj świata! Słuchać — w tem rzecz!

— A tak, słuchać, — drwił Franek—iść na kraj świata bez butów! Łatwo językiem, ale nie bosemi nogami!

— Jak tu nie mędrkować,--rzekł cicho Litwin,—kiedy tęsknota żre serce, a nadziei niema.

---

*) Pokój w Campo—Formio 17 paździer. 1797 roku.

— Bić się, ale za swoją sprawę! — krzyczał Walek.

— Toć się za naszą sprawę bijemy! — zawołał zniecierpliwiony Siwiński. Tak powiedział generał Dąbrowski — to mu wierzcie i słuchajcie!

I dla dodania ducha huknął potężnym basem pieśń legjonów. Ożywiły się twarze, zabiły silniej serca.

Ale dnie płynęły w chłodzie i głodzie, niezadowolenie śród wojska rosło, tembardziej, że pożądana bielizna, odzież i obuwie nie nadchodziły. Choroby zaczęły się szerzyć między legjonistami, a lazaret nie mógł dostarczyć ani pomieszczenia, ani nawet dostatecznej ilości lekarstw dla chorych.

Daremnie po całych dniach legjoniści łatali sobie ubrania i buty, czyścili rynsztunek, przyszywali lampasy — boć to przecie polski strój*), należało mieć go w poszanowaniu, prezentować się dzielnie! Mundury darły się w strzępy i nieraz kołdrami okrywać się biedacy musieli, aby uchronić się od mrozu.

Starszyzna zaczynała się bać nie na żarty, że zrozpaczony żołnierz może pomyśleć o dezercji.

Wtem zadszedł rozkaz, aby legja udała się do Metzu.

Gdy wyznaczony oficer, Józef Drzewiecki, wyszedł przed front, aby prowadzić oddział, — żołnierze podnieśli głośny krzyk:

— Jakże tu pójdziemy — my bosi!

— A tu mróz siarczysty!

— Ostra gruda na drogach!

Drzewiecki stał chwilę bezradny. Cóż miał powiedzieć tym licho odzianym ludziom, dzwoniącym zębami od zimna, zrozpaczonym biedakom bez nadziei i bez butów!

*) Legjoniści mieli ubiór, znaki i organizację polskiego wojska—tylko przypinali francuską kokardę.

A gwar rósł, krzyk potężniał; najgłośniej zaś dowodził Franek Kowalski.

— Pfuj! — spluwał Siwiński zgorszony, — w łeb bym ci wypalił za to podjudzanie!

A Franek wciąż gardłował:

— Jakżeż pójdziemy boso?

I wojsko powtarzało jego słowa.

Drzewiecki zawahał się chwilę, wreszcie wywołał Franka z szeregów.

Zapanowało złowrogie milczenie — zadrżał stary kapral, poznał bowiem, że nawet surowe ukaranie winnego nie zaradzi złemu, przeciwnie — będzie tylko hasłem do otwartego nieposłuszeństwa, do dezercji, do buntu! Miara cierpliwości polskiego żołnierza już się była przepełniła...

Drzewiecki tymczasem siadł na kamiemieniu i rozkazał krótko Frankowi, wyciągając nogi:

— Zzuj mi buty!

Szmer zdziwienia przebiegł przez szeregi.

Franek ogłupiały przyklęknął i ściągnął posłusznie obuwie oficerowi.

Drzewiecki stanął bosy na ziębniętej ziemi i rzekł głośno do Franka:

— Włóż moje buty, mam jedne tylko — i te ci oddaję! Lecz .pełń twoją powinność.*)

Poczem zakomenderował marsz — i szedł przed frontem boso.

Ostra gruda poraniła nogi młodemu bohaterowi. Daremnie żołnierze i zawstydzony Franek błagali go, aby włożył buty:

Drzewiecki odpowiadał:

— Wasz los dzielę, bom też żołnierz i Polak.

I tak dni kilkanaście szedł, prowadząc legjonistów również bosych. Przykład jego był najlepszą zachętą: wojsko szło ochoczo z muzyką i śpiewem, nie bacząc na odmrożone i poranione nogi — i stanęło w Metzu bez dezerterów, po czternastu dniach uciążliwego marszu — bez butów.

*) Autentyczne.

Gustaw le Rouge.

NIEWIDZIALNI.*)

I. Zaruk.

— Ach, panie Jerzy Darvel! Nie może pan sobie wyobrazić, ile radości przyjazd pański sprawi moim przyjaciołom: kapitanowi Wad i inżynierowi Boleńskiemu! Czekają na pana z najżywszą niecierpliwością... A ileśmy mieli kłopotu z odszukaniem pana!

— Rzeczywiście, nie mogę sobie tego wytłomaczyć, jakim sposobem znaleźliście mnie państwo?

— Przeglądając papiery pańskiego brata po katastrofie w Kelambrum, znaleźliśmy dawny list pana, pisany do niego i on to naprowadził nas na ślad...

— To był ostatni mój list — szepnął młody człowiek — odtąd nic nie wiem o losach Roberta...

— Nie rozpaczaj pan: niema jeszcze nic straconego! Co tylko wiedza ludzka i złoto zdziałać mogą dla jego ocalenia, wszystko będzie zrobionem — jeśli tylko nie jest zapóźno!

— Ale wracając do tego listu — mówił Ralf, chcąc rozproszyć ogarniające go głębokie wzruszenie — był on datowanym z Paryża, lecz nie zawierał pańskiego adresu, tylko dość luźne wiadomości o studjach naukowych. Lecz miss Alberta chciała koniecznie poznać pana, a gdy raz sobie coś postanowi, musi dokazać swego! To też na jej rozkaz ajenci przeszukali wszystkie szkoły, licea, uniwersytety, zasypywali dzienniki ogłoszeniami...

— To wszystko nie osiągnęłoby celu, gdyby nie szczególny zbieg okoliczności. Po ukończeniu Szkoły Centralnej chciałem, jako inżynier, znaleźć miejsce za granicą...

— I dostałeś je pan, wiem! Ale muszę panu opowiedzieć o sprawie brata coś więcej nad to, co głosiły gazety.

— Wiem o ustaleniu komunikacji międzyplanetarnej, wiem, że mis Alberta żyje w zupełnem odosobnieniu od świata...

— Tak jest... Gdy sygnały świetlne zostały przerwane, wezwała kapitana Wad, inżyniera Boleńskiego i mnie — i rzekła:

— Moi przyjaciele! Choć nie mam już nadziei, lecz odwagi nie straciłam. Jeżeli Robert Darvel znalazł sposób dostania się na Marsa, dlaczego nie mielibyśmy go także wynaleźć? I znajdziemy go — choćbym miała na to poświęcić cały mój majątek! Rachuję

*) Jest to część druga niezwykle zajmującej powieści, p. t. «Więzień na Marsie», drukowanej w «Naszym Świecie» w r. 1911. Dla udostępnienia pierwszej części nowoprzybywającym prenumeratorom. obniżyliśmy cenę roczników z r. 1911 do pół ceny.

na was, panowie, że mi w tem dopomożecie...

Po wielu pochlebnych dla nas wyrazach, oświadczyła, że nigdzie nie znalazłaby ludzi bardziej oddanych nauce a życzliwszych dla siebie i — otworzyła w swym banku kredyt nieograniczony na nasze rozkazy. Ma się rozumieć, że przyjęliśmy jej propozycję z zapałem -- niewielu uczonym dano jest pracować w takich warunkach! Teraz i pan wchodzisz do naszego kółka...

A gdy Jerzy, zarumieniony z radości, chciał dziękować, rzekł:

— Podaj mi pan rękę — to wystarczy... Rzecz skończona! Przypuszczając pana do naszych prac, spłacamy święty dług przyjaźni dla pańskiego brata, którego odnajdziemy—jestem tego pewnym!

Umilkli obaj, jakby przytłoczeni ciężarem myśli i przechadzali się, milcząc, pod cieniem wspaniałych palm i dębów korkowych.

Aby rozweselić swego nowego przyjaciela, Ralf zaproponował mu małą wycieczkę dla poznania okolicy.

Ten zakątek, zielony, jak świeża oaza, położony w skwarnym Tunisie, był jednem z najpiękniejszych miejsc na świecie. Droga leśna wiła się wśród urozmaiconego, pysznego krajobrazu przez pagórki i doliny, to przechodząc przez zarośla różowych laurów i dzikich mirtów, to gubiąc się w kolczastych kaktusach, których kwiaty wydawały woń odurzającą. Gdzieniegdzie, drzewa dźwigające na sobie wiele stuleci, ocieniały jakąś ruinę, pozostałą z czasów rzymskich. Różne pnące rośliny zwieszały się z gałęzi do samej ziemi, a w ich gęstwinie poruszały się stada krzykliwych ptaków.

— Powiedz mi pan – rzekł nagle Jerzy — jakim sposobem znajduję pana tutaj, w Tunisie? Myślałem, że będziesz pan w Anglji lub w Indjach!

— Miss Alberta dlatego wybrała ten uroczy zakątek, aby zmylić ślad za sobą i w spokoju, zdala od ludzkich ciekawych oczu, znaleźć spokój w tym cudnym klimacie. Nie trafi tu żaden turysta! Tu możemy być pewni, że prac naszych nie zamąci niczyja ciekawość: niema tu ani reporterów, ani fotografów, ani tych eleganckich próżniaków, których nazywam «złodziejami czasu»!

Nasze laboratorjum chemiczne jest tu tak zaciszne, jak gdyby w jakiem opactwie średniowiecznem; przytem jest po królewsku zaopatrzone we wszystko, czem nauka ułatwia uczonym ich pracę i badania.

— Zkądże miss Alberta znała tę okolicę?

— Przepływała kiedyś wzdłuż tych brzegów, podróżując na swym jachcie «Conqueror» i została niemi zachwyconą.

— Czy oddawna tu mieszka?

— Nie; przed kilku miesiącami sprzedawano ten pałac po śmierci pewnego sycylijskiego bankiera, który go zbudował i miss Alberta kazała kupić go dla siebie. Patrz pan, jak cudnie ztąd wygląda!

Istotnie, to cacko architektury arabskiej, zbudowane z białego marmuru, robiło wrażenie czarodziejskiego pałacu z Tysiąca i jednej nocy, rysującego się na tle ciemnej zieleni.

— Poznam miss Albertę! — zawołał z uniesieniem Jerzy — będę nakoniec mógł podziękować za bohaterskie starania, czynione w celu odszukania biednego Roberta!

— Tak, ale nie ujrzysz jej pan dziś, ani jutro — nie miałem czasu powiedzieć panu, iż wróci dopiero za kilka dni. Interesy kopalni złota wymagały koniecznie jej bytności w Londynie.

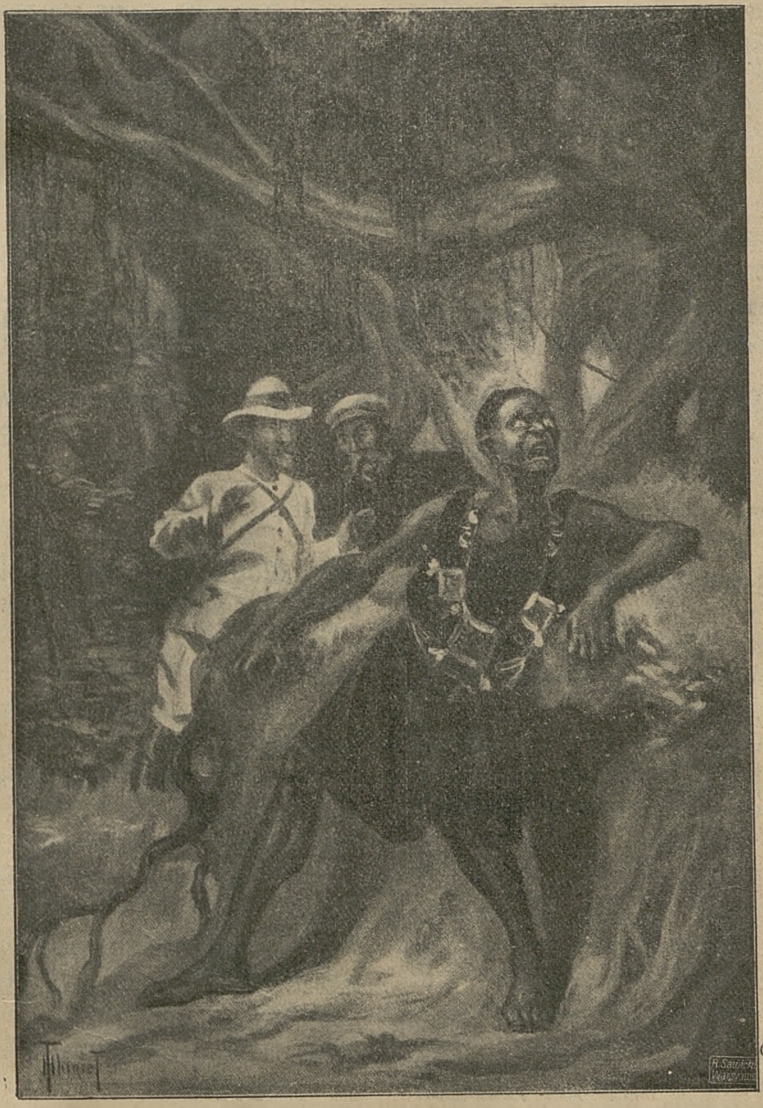
— To szkoda — szepnął młody człowiek, nieco zakłopotany.

— Czy panu wiadomo — spytał Ralf — że bajeczna wydajność tych kopalni, odkrytych przez pańskiego brata, dotąd się nie zmniejszyła? Istny złoty potok przelewa się stamtąd do kas ogniotrwałych miss Alberty! Koszty naszych doświadczeń są zaledwie drobną kropelką w tym oceanie bogactwa!

Zdławiony krzyk przerwał mowę Ralfa

i w tejże chwili gromada wystraszonych ptaków zerwała się, jakby szukając lepszego schronienia.

— To krzyk Zaruka, mego murzyna — nice jego przysłonięte były bielmem, lecz to jednak nie szpeciło go. Czoło miał wyniosłe i rysy regularne, a wargi nie były tak wstrętnie grube jak zwykle u Negrów.



rzekł Ralf — musiał się czegoś przestraszyć, co mu się trafia dość często!

Pobiegłszy nieco na prawo, zobaczyli murzyna jakby skamieniałego ze strachu; czarna twarz jego przybrała barwę ziemistą, a wzburzone rysy i postawa skurczona świadczyły o najwyższem przerażeniu.

Jerzy ujrzał, że jest to niewidomy: źre-

Ralf zbliżył się do niego.

— Co ci jest, mój biedny Zaruku?—spytał troskliwie — nie myślałem, że jesteś takim tchórzem! Czy tu niema gdzie pantery?

Zaruk poruszył przecząco głową. Był zbyt wzruszonym, aby mówić; drżenie całego ciała jego było widoczne pod okrywającym je lekkim, białym burnusem. W ręce

trzymał lejce muła, który zdawał się być równie jak on wystraszonym.

— To coś niezwykłego! — szepnął Jerzy do ucha Ralfa. — A przestrach tych ptaków przed chwilą... cóż to znaczy?

— Nie wiem sam, co myśleć o tem — odparł naturalista niespokojnie. — Zaruk widocznie odgadł niebezpieczeństwo—ale jakie?

Oprócz kilku skorpionów, lub dzikich kotów, las ten, zwany Ain-Draham (po arabsku: źródło wody) nie ma szkodliwych stworzeń.

— A hyeny?

— O, to są podłe i bojaźliwe zwierzęta: nie napadają ludzi nigdy i Zaruk nie ulęknie się takiej drobnostki!

(D. c. n.).

(Tłom. z fran. *K. W.*).

REGALJA KRÓLEWSKIE.

(Przygody profesora Nickiego i jego famulusa Pawełka).

Opowiedział Edmund Jezierski.

I. Tajemniczy pergamin.

— Panie profesorze!.. panie profesorze!..

Cisza odpowiadała na wołania korpulentnej starszej kobiety,

— Chryste Jezu Nazareński! - olaboga!.. lamentowała dalej, widząc że wołania jej żadnego nie odnoszą skutku—a toć istne skaranie Boże z panem profesorem. Zawsze jedna i ta sama historja. Śniadanie nie tknięte, obiad wystygł, nic już prawie nie wart... Nie, tak dalej być nie może. Musi się to zmienić .. musi!

Mówiąc to, energiczna jejmość zamaszystemi krokami zbliżyła się do siedzącego przy biurku i zajętego pracą niemłodego mężczyzny a stając tuż za nim—rzekła głośno:

— Panie profesorze!.. Już od godziny wołam, że obiad na stole, a pan profesor nic i nic. Siedzi przy biurku i szpera w tych papierzyskach...

Siedzący przy biurku profesor chudy, zawiędły, o twarzy pomarszczonej, z włosami długiemi i brodą w nieładzie, w okularach na nosie, uniósł głowę i patrząc na mówiącą po przez szkła — odrzekł łagodnie:

— Dobrze, moja Marcinowa... dobrze... zaraz idę,.. zaraz!

— Ależ ja to zaraz słyszę już od samego rana...

— Zaraz. moi kochani — tłomaczył się profesor — niech tylko odczytam ten pergamin.

— A kiedyż to będzie? – dopytywała natarczywie nieugięta gospodyni.

— Może dziś w nocy... a może jutro rano... a może za tydzień... strasznie trudno to odczytać!

Marcinowa aż klasnęła w ręce.

— Jezu Nazareński!... Co też to pan profesor wyplata... za tydzień? I przez cały ten czas nawet łyżki gorącej strawy nie wziąłby do ust? A toż za trzy dni skapiał by do reszty. Eh, ja na to już dłużej patrzeć nie mogę. Muszę coś poradzić. A toż nieboszczka moja pani, świeć Panie nad

jej duszą, już na śmiertelnem leżąc łożu mówiła mi: Moja Marcinowa a pamiętaj, opiekuj się moim Tomusiem, bo on sam to by nie jadł, nie pił i nie spał, a tylko grzebał w tych starych papierzyskach. Wola mojej nieboszczki pani świętą jest dla mnie i dlatego...

Nie dokończyła — tylko nim profesor spostrzedz się zdołał, ujęła go pod pachy, podniosła z fotelu i jak dziecko lub kalekę poprowadziła do przyległego pokoju, gdzie na stole zasłanym białą czystą serwetą przygotowany był obiad. Profesor zupełnie nie oponował przeciwko temu postępkowi energicznej Marcinowej. Machinalnie wziął łyżkę do ręki i nie wiedząc nawet o tem; co robi, błądząc myślami daleko w przestrzeni, zabrał się do jedzenia...

Marcinowa uciekła, podawała mu tylko coraz nowe potrawy, pilnując gorliwie, żeby na talerzu nic nie zostawało.

Profesor skończył wreszcie obiad i natychmiast zerwał się od stołu, dążąc spiesznie do gabinetu, gdzie czekała rozpoczęta praca.

Zasiadł zaraz przy biurku, wziął do ręki sporą ćwiartkę pergaminu, na którym widniały tajemnicze jakieś znaki, przyglądać się im zaczął zrazu przez szkła okularów, potem użył do pomocy lupy.

— Co to być może?.. —mruczał, przejęty swą czynnością: — znalazłem tę kartkę w starym modlitewniku z XVII wieku. Są na niej jakieś znaki, jakieś ślady, jakby liter gotyckich, lecz ani rusz odczytać ich nie mogę.

I jeszcze gorliwiej, z jeszcze większym zapałem zabrał się do odcyfrowania tajemniczych znaków...

Rozłożył na biurku arkusz papieru i starannie, uważnie, przenosić na niego zaczął znaki, jakie były na pergaminie.

Po jakimś czasie otrzymał następujące litery:

Re..l.a kr..ew.. ie.ak.p..e n. w.g..zu gr...= u...—..i.o ......y. Zn..i kr..z .a k...eni. tr.. k..ki na w..hor.d wie...eg. de.. R.. u.. n...go 1.5.

Profesor wpił wzrok w ten napis, starając się z zamazanych, pościeranych, nielicznych liter odczytać treść kartki.

Nie udawało mu się. Mordował się, męczył, próbując przeróżnych sposobów, aż pot obfity wystąpił mu na czoło.

Nadszedł wieczór, Marcinowa znów energicznie przypomnieć musiała o kolacji; zbliżyła się i północ wreszcie, a treść tajemniczej kartki odcyfrowaną jeszcze nie została.

— Żeby chociaż odgadnąć znaczenie pierwszego słowa! — mruczał pod nosem profesor, cały pochłonięty swą pracą.

Próbował przeróżnych sposobów, przerozmaitych systemów, lecz żadnego realnego wyniku otrzymać nie mógł.

Wreszcie wpadł na myśl zastępowania kolejno brakujących liter kolejnemi literami alfabetu i w ten sposób odczytania treści kartki.

Żmudna ta praca trwała bardzo długo, i już pierwsze promienie świtu wdzierały się przez okna do gabinetu, kłócąc się z światłem płonącej na biurku profesora lampy, gdy odcyfrować zdołał pierwsze słowo.

— Regalja!...—zawołał z radością... regalja! Przeczuwałem, że kartka ta posiada ważne znaczenie. Idźmy teraz dalej, zapoznajmy się z dalszą treścią!

I znów gorliwie zabrał się do pracy, ciężkiej i żmudnej, odcyfrowania nawpół zatartego, niezrozumiałego rękopisu.

Marcinowa aż plasnęła w ręce ze zdumienia, widząc płonącą lampę, choć słońce już dawno wzeszło i profesora, pogrążonego w pracy.

Już, już, miała zacząć gderać, lecz pro-

fesor zwrócił się naraz do niej, a z twarzy jego bił wyraz błogiego rozradowania.

— Odczytałem, Marcinowo, odczytałem... już pierwszy wyraz—zawołała.

Stara gospodyni nie miała serca gderać jak to zwykle robiła, zmusiła tylko profesora do spożycia śniadania i do przespania się choć przez parę godzin.

Lecz sen nie trwał długo.

Zaledwie przez godzinę drzemał profesor, poczem wnet zerwał się i zasiadł przy biurku, do dalszej pracy.

I znów zeszedł mu czas do północy.

Nagle zerwał się z fotelu, wyraz rozradowania błyszczał w jego oczach:

— Odczytałem! Nareszcie...

Na rozłożonym arkuszu papieru widniały słowa:

Regalja królewskie zakopane na wzgórzu grodu... Znaki: krzyż na kamieniu, trzy kroki na wschód od wielkiego dębu. Roku pańskiego 1.5.

Z radością odczytywał profesor tę kartkę.

— Tak — szeptał — dokonałem wiekopomnego odkrycia. Wynalazłem regalja królewskie, zakopane widocznie w czasie jakiejś burzy dziejowej, których tyle w przeciągu wieków nad Polską się przewaliło. Trzeba będzie odkryciem tem podzielić się z kolegami. Zaraz zabiorę się do sporządzenia referatu, w którym wyłuszczę im wszystko, co odnosi się do mego odkrycia. Na pierwszem posiedzeniu towarzystwa Naukowego referat mój odczytam.

Naraz tok jego radosnych myśli został przerwanym. Głęboka zmarszczka przecięła czoło jego i osiadł na niem cień zadumy.

— Tak — szepnął po chwili:—przygotuję im referat; odczytam go nawet, lecz gdy zapytają się mnie: a gdzież są zakopane te regalja?.. co im odpowiem?.. A jakież im dam wskazówki co do czasu dokonania tej czynności, kiedy z roku figurują tylko dwie cyfry, i to pierwsza i trzecia. Nie, tego zrobić nie mogę! Jeżeli mam przedstawić referat, który ma wzbogacić wiedzę i naukę, to musi on być pełny, kompletny; nie może w nim być żadnych braków i opuszczeń!

I rozłożywszy przed sobą kartkę pergaminową, profesor zabrał się do ponownego jej odcyfrowywania.

Tym razem praca jego nie przyniosła żadnych rezultatów. Zatarte miejsca pozostały zatartemi i nie dawały nawet najmniejszych wskazówek co do swego znaczenia, co do słów, które się na nich znajdowały.

Długo bardzo siedział profesor nad kartką, pogrążony w zadumie, a smutek z powodu niemożności ukończenia dzieła, które miało wzbogacić naukę, a jemu przynieść sławę — ogarniał go coraz większy.

Naraz porwał się z miejsca.

— Tak — tak... to będzie najlepsze... Nie tylko, że im dam referat, ale i złożę owe regalja... odnajdę je, opiszę szczegółowo a potem złożę do muzeum w Krakowie by tam, w tej skarbnicy narodowej, spoczywały na wieki...

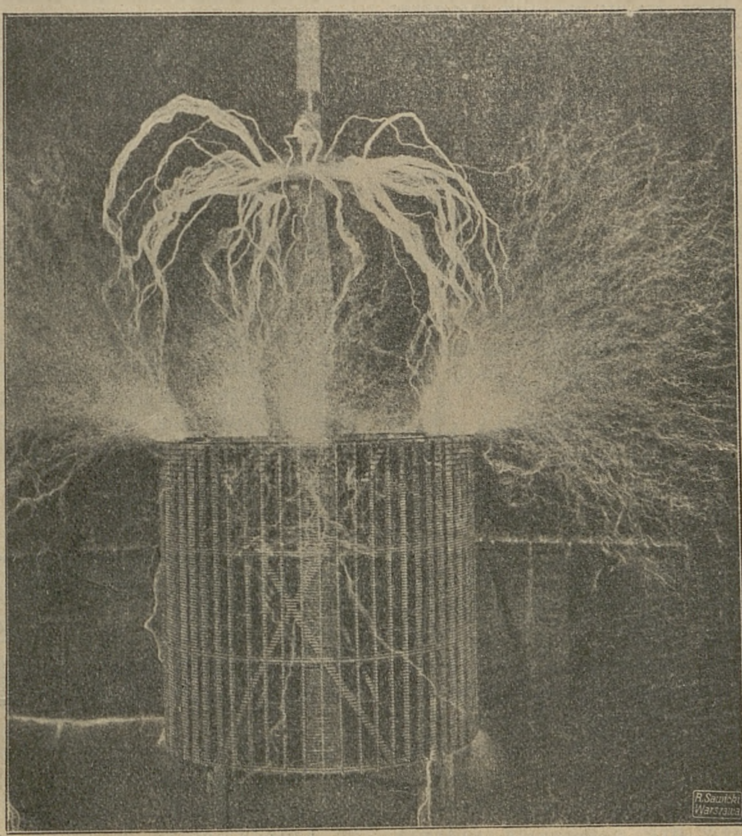
I porwany tą myślą począł szybko biegać po pokoju, gestykulując zawzięcie i mówiąc coś do siebie.

Na powstały stąd hałas wpadła do gabinetu Marcinowa, a widząc profesora ożywionego tak, jak nigdy, stanęła na progu jak wryta, żegnając się tylko nabożnie.

D. c. n.

CUDA ELEKTRYCZNOŚCI.

Znakomity wynalazca amerykański, Mikołaj Tesla, postawił sobie piękne zagadnienie, o doniosłości nietylko czysto teoretycznej, lecz przedewszystkiem praktycznej. Chce on mianowicie, uczynić energję elektryczną posłuszną woli ludzkiej w sposób najbardziej wszechstronny. Dzięki niezmordowanej pracy udało się badaczowi temu osiągnąć niezmiernie ważne rezultaty, przy zastosowaniu środków, zupełnie nowych, dotąd przez nikogo nie używanych. Dążenia Tesli ku przysporzeniu ludziom korzyści, jego praca wytrwała a przytem wysokie zdolności, powiedzmy nawet—jego genjusz wynalazczy zasługują ze wszech miar na szacunek i nakazują poznanie, chociaż w głównych zarysach, rezultatów jego prac.



Rys. 1. Elektryzowanie azotu atmosferycznego.

Badania nad wytwarzaniem i zużytkowaniem elektryczności, którym się Tesla poświęcił, skierowane są ku bardzo różnorod-

nym celom praktycznym. Pragnie on zużytkować energję elektryczną dla podniesienia wydajności gleby i wzmocnić siły obronne państw w tym stopniu, aby uniemożliwić wszelkie napady zaborcze; olbrzymie zapasy mechanicznej siły, dostarczanej przez wodę i wiatr oddać na użytek przemysłu, wreszcie zastosować energję elektryczną do środków komunikacji w najszerszym zakresie. Chciałby on całą przestrzeń powietrzną tak wypełnić energją elektryczną, aby każdy i wszędzie mógł czerpać wedle woli i potrzeby siłę niezbędną dla wypełnienia swych przedsięwzięć. Tesla tak daleko idzie w swych nadziejach, że uważa za możliwe nawiązanie stosunków z mieszkańcami Marsa.

Wobec coraz znaczniejszego wyczerpywania się gleby przy jednoczesnem wzrastaniu ludności, przypuszczano, że w przyszłości okaże się niezbędnem fabrykowanie sztucznych środków żywności. Tesla wpadł jednak na pomysł użycia innego środowiska zaradczego. Chce on mianowicie podnieść wydajność gleby przez umierzwianie jej sztucznemi nawozami, używając do ich wyrobu azotu, zawartego w atmosferze. Pomysł ten nie był obcym i innym wynalazcom, jednakże nie znaleźli oni sposobu, w jaki można było praktycznie go zastosować, gdyż azot z wielkim trudem wchodzi w związki z substancjami, z któremi mógłby tworzyć nawóz tani i wygodny w użyciu.

Dopiero w r. 1891 Tesla wykazał, że pewien rodzaj wyładowań elektrycznych, przy użyciu prądu o wysokiej zmienności, może naelektryzować azot atmosferyczny tak silnie, że cząsteczki tego gazu rozgrzewają się i spalają się t. j. łączą chemicznie z tlenem (Rys. 1). Związek azotu z tlenem może być z łatwością zamieniony na kwas azotny. Był to pierwszy krok ku rozwiązaniu kwestji zużywania azotu atmosferycznego na nawóz sztuczny. Jednakże ostateczne rozwiązanie sprawy należy do przyszłości. Doświadczenia w tym kierunku są związane z tyloma trudnościami, wymagają wypełnienia tylu różnorodnych warunków, że dalszy postęp może być osiągnięty jedynie przez długotrwałe i pracowite badania.

Drugie zadanie, jakie sobie Tesla postawił, dotyczy przesyłania bez pomocy drutu energji elektrycznej w dowolnem napięciu. Przez zastosowanie tej nowej zasady możnaby, według mniemania Tesli, otoczyć kraj każdy nieprzebytą ścianą obronną, udaremniającą wszelkie najścia zaborcze, przedewszystkiem zaś zabezpieczyć wielkie porty, jako punkty węzłowe komunikacji wszechświatowej. Rozwój środków obrony, o jakim marzy Tesla, uniemożliwiłby wszelkie wojny i siłą rzeczy pokój powszechny musiałby ostatecznie zapanować.

D. c. n.

KRONICZKA.

△ W Dumie państwowej w Petersburgu, rozpatrywany jest obecnie projekt wyłączenia z granic Królestwa Polskiego, zawarowanych traktatem wiedeńskim 1815 r., kilku powiatów, celem utworzenia z nich gubernji Chełmskiej. Przeciwko projektowi temu występują wszyscy posłowie polscy i przychylni im Rosjanie.

W sprawie tej odbył się w Galicji cały szereg wieców protestujących.

△ Telegraf bez drutu przyczynił się do ocalenia życia kilkuset osób.

W pobliżu Marokka rozbił się parowiec angielski „Delhi", którym jechała do Indji, na uroczystości koronacyjne, siostra króla angielskiego z rodziną. Zawezwana telegrafem bez drutu pomoc, uratowała wszystkich.

W czasie bohaterskich zapasów z rozszalałym żywiołem, przy ratowaniu ginących, utonęło sześciu marynarzy francuzkich i dwóch angielskich.

Drobiazgi.

Chleb z przed lat tysiąca. Docent uniwersytetu sztokholmskiego, dr. Schnittger, wydobył przy poszukiwaniach w Gotlandji, w okręgu Ljunga, chleb, pochodzący z czasów Wikingów. Niezwykłe wykopalisko poddano badaniu chemicznemu w instytucie farmaceutycznym w Sztokholmie. Stwierdzono, że chleb był wypieczony z kory sosnowej i mąki z grochu. Groch uprawiano tedy w Szwecji już w IX-ym wieku po Chrystusie. W wykopaliskach z c ów przedhistorycznych kilka-